

informato**r**

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

ISSN 1505-8476



nr 222
wrzesień 2007



MAGIA LICZB albo OGRÓD O ROZWIDLAJĄCYCH SIĘ ŚCIEŻKACH

Witajcie w 222 numerze naszego „Informatora”!

Ładnie to wygląda w winietce, nieprawdaż? Jeszcze lepiej (bo „horrorowato”) wyglądałby numer 666 – ale żeby doń napisać wstępniak musiałbym być aktywnym rednacem w wieku 85 lat. A tego sobie raczej nie wróżę (zaś Wam nie życzę!).

By zresztą było całkiem jasne: po raz kolejny publicznie oświadczam, iż nie wierzę w żadne numerologie, astrologie, wróżby – i temu podobne wymysły.

Jednak jest liczba, która od jakiegoś czasu mnie frapuje...

Zastanawiam się bowiem, w której Rzeczypospolitej żyliśmy ostatnio (oraz w której przyjdzie nam żyć po październikowych wyborach). To wszystko zaczyna bowiem przypominać nie tylko jakąś groteskową political-fiction, ale wręcz zwariowaną opowieść o meandrach czasu (stąd, nawiązujący do noweli Borgesa, podtytuł niniejszego wstępniaka).

Hasło budowy IV Rzeczypospolitej było czołowym hasłem wyborczym jednej z partii politycznych. Było ono chwytliwe, nie pozbawione nawet pewnych podstaw, kojarzyć się też mogło z jakimś „nowym porządkiem” czy nawet z francuską V Republiką.

Ale to było hasło. Hasło, które udaje się zrealizować bądź nie. Mówienie zaś o naszym dzisiejszym państwie jako o IV RP jest błędem, nadużyciem lub myśleniem życzeniowym.

Nie doszło wszak do żadnej rewolucji ustrojowej ani do jakiejś zasadniczej zmiany konstytucji. Cały czas żyjemy w – wyłonionej po odejściu w niebyt Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej – III Rzeczypospolitej.

A może jednak nie?

Może faktycznie nie – ale na pewno nie jest to wtedy Rzplita z numerem czwartym!

Skoro bowiem każda w miarę zasadnicza zmiana rządu oznaczałaby kolejny numerek, to policzmy na spokojnie:

- III RP – dojście do władzy opozycji antykomunistycznej i upadek państwa satelickiego;
- IV RP – rząd Jana Olszewskiego;
- V RP – okres po odwołaniu tegoż rządu;
- VI RP – wygrana postkomunistów (a raczej – znalezienie się rozproszonych partii „postsolidarnościowych” poza parlamentem);
- VII RP – rządy AWS;
- VIII RP – rządy Leszka Millera;
- IX RP – rządy braci Kaczyńskich.

Nie wiem zresztą, czy nie mamy już jubileuszowej (X) Rzeczypospolitej: wszak w okresie międzywojennym powinniśmy chyba mówić, zgodnie z tą logiką, o II i III RP (przewrót majowy!).

I jak się Wam powyższa arytmetyka podoba?

Cisnąc się przy niektórych rządach epitety pokasowałem – w imię obiektywizmu...

Wybaczcie, że w tym wstępniaku jest aż tak wyraźne nawiązanie do doraźnej polityki!

Ta dość brudna materia otacza nas jednak zewsząd, nie sposób od niej uciec, nawet w fantastykę. Zresztą... interesujący nas gatunek nigdy się od polityki totalnie nie odcinał – weźmy chociażby twórczość Zamiatina, Huxleya, Orwella, Zajdla, Ziemiękiewicza oraz rozmaite przygody z językiem ezopowym i cenzurą zarówno Miesięcznika Literackiego „Fantastyka”, jak też naszych klubowych wydawnictw doby PRL-u.

Ale zostawmy już to wszystko – życzę Wam miłej lektury wrześniowca!

URODZINY

Czego można życzyć Osobom
urodzonym w listopadzie?

Tego samego, co urodzonym w innych
miesiącach!

Redakcja

- 1 Krzysztof Kielichowski
- 5 Marcin Grygiel
- 8 Piotr Mazurowski
- 10 Marcin Rutkowski
- 11 Elżbieta Kotlarek
- 12 Joanna Piszczek
- 13 Ewa Krasowska
- 16 Sławomir Ginter
- 26 Jaśmina Kotlarek
- 28 Adam Jakubowski
- Małgorzata Szczepańska-Stankiewicz
- 30 Konrad Wawruch



WRZEŚNIOWE POSIEDZENIE ZARZĄDU GKF

Odbyło się 26 września 2007 r. Ważniejsze z poruszanych spraw:

I. Sprawy organizacyjne

1. Zarząd postanowił przyjąć do GKF Klub Fantastyki „Hobbit” ze Złotowa na prawach Klubu Sprzymierzonego – po spełnieniu wszystkich warunków statutowych.
2. Sekretarz Zarządu zreferował sprawy związane z ostatnim wnioskiem do KRS.

II. Sprawy personalne

1. Piotr Bortkun został mianowany z-cą szefa Działu Gier Planszowych i Karcianych
2. Przyjęcie członków do GKF: Angmar – Ewa Krasowska, Wojciech Janus; Mirror – Filip Chawańkiewicz
3. Annie Kwiatkowskiej (Angmar) udzielono urlopu w okresie II-IV kwartał 2007.

III. Sprawy finansowe

1. Skarbnik przedstawił stan subkont KL-ów.
2. Zarząd zatwierdził limity zakupów dla Działów Gier na II półrocze 2007r.
3. Zarząd polecił skarbnikowi przeprowadzenia rozpoznania rynkowego, dotyczącego zakupu rzutnika.
4. Zarząd polecił skarbnikowi wyasygnowanie funduszu na zakup wykładziny dla pomieszczeń klubowych.

IV. Praca Komisji Rewizyjnej

1. Kontrola Działu Gier Planszowych i Karcianych – wnioski: wydłużenie okresu wypożyczania i limitu pozycji (zgoda na zmianę regulaminu: wydłużenie okresu do 3 miesięcy, limitu do 3 gier; osoby wypożyczające zobowiązane udostępnić grę na czas trwania imprezy klubowej).
2. Kontrola Działu Gier Fabularnych – wnioski: wpisać 46 darowizn, skontaktować się z dwoma osobami przetrzymującymi pozycje.
3. Dobiega końca kontrola Działu Gier Strategicznych. Udzielono pochwały Pawłowi Krucińskiemu za zarządzanie Działem.
4. Plan kontroli: w IV kwartale przewodniczący Komisji Rewizyjnej poda terminy.

V. Imprezy

1. Relacja ze starań o Polcon 2009. Na organizatora wybrano SMERF (Łódź), jednak głosowanie okazało się nieważne. W związku z tym, że głosowanie zostanie powtórzone na Polconie 2008, Zarząd podjął decyzję o rezygnacji z dalszego ubiegania się o Polcon 2009.
2. Informacja o przygotowaniach do Nordconu 2007.
3. Omówienie wyników Teleportu 2007.
4. Wstępnie omówiono koncepcję Teleportu 2008.
5. Konwent lokalny Voyager odbędzie się w dniach 26-28 października; tematyka apokaliptyczna – rywalizacja SF i fantasy o kształt końca świata.
6. Omówiono możliwość spotykania się w pubie Troll.
7. W sobotę 29 września odbędzie się Turniej Magic: the Gathering.



ZAPOWIEDZI WYDAWNICZE

druga połowa października i listopad

WSZYSTKO JEST WZGLĘDNE (EVERYTHING'S EVENTUAL) – STEPHEN KING

Wydawca: Prószyński i S-ka

BARANEK (LAMB) – CHRISTOPHER MOORE

Wydawca: MAG

GILDIA MAGÓW (THE MAGICIANS' GUILD) – TRUDI CANAVAN

Wydawca: Galeria Książki

SPADKOBIERCY CESARSTWA (HEIRS OF EMPIRE) – DAVID WEBER

Wydawca: ISA

ZAKOCHANY DUCH (THE GHOST IN LOVE) – JONATHAN CARROLL

Wydawca: Rebis

LŚNIENIE (THE SHINING) – STEPHEN KING

Wydawca: Prószyński i S-ka

SILMARILLION (SILMARILLION) – JOHN R.R. TOLKIEN

Wydawca: Amber

ZAMIEĆ (SNOW CRASH) – NEAL STEPHENSON

Wydawca: ISA

TRYLOGIA HUSYCKA – ANDRZEJ SAPKOWSKI

Wydawca: superNOWA. Oprawa twarda (3 tomy w etui)

CARRIE (CARRIE) – STEPHEN KING

Wydawca: Prószyński i S-ka. Wznowienie

STRZASKANA MASKA – BYERS RICHARD LEE

Wydawnictwo: ISA

PAN LODOWEGO OGRODU 2 – JAROSŁAW GRZĘDOWICZ

Wydawnictwo: Fabryka słów.

NON STOP – ALDISS BRIAN W.

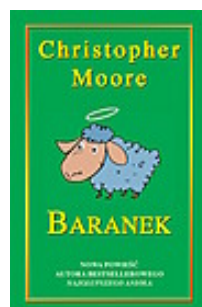
Wydawnictwo: Solaris

LÓD – DUKAJ JACEK

Wydawnictwo: Wydawnictwo Literackie

OPERASJA „ŻMIJA” – KIR BUŁYCZOW

Wydawnictwo: Solaris



WROTA T.2 – MILENA WÓJTOWICZ

Wydawnictwo: Fabryka słów

MEMORANDUM – FORD JEFFREY

Wydawnictwo: Solaris

KSIĘGA STRACHU – ANTOLOGIA

Wydawnictwo: Runa

RETROSPEKTYWA T.2 ŻEGLARZE NOCY – GEORGE R.R. MARTIN

Wydawnictwo: Zysk i S-ka.

INTERWORLD – NEIL GAIMAN

Wydawca: MAG

LATA RYŻU I SOLI (THE YEARS OF RICE AND SALT) – KIM STANLEY ROBINSON

Wydawca: Wydawnictwo Dolnośląskie

USTRÓJ ŚWIATA, CZĘŚĆ 2 (SYSTEM OF THE WORLD) – NEAL STEPHENSON

Wydawca: MAG

MERRICK (MERRICK) – ANNE RICE

Wydawca: Rebis

RYCERZ KIELICHÓW – JACEK PIEKARA

Wydawca: RUNA

WICHER ŚMIERCI, CZĘŚĆ 2 (REAPER'S GALE) – STEVEN ERIKSON

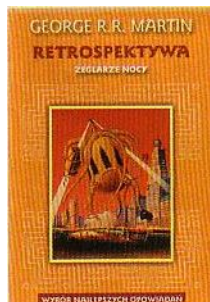
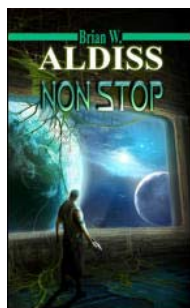
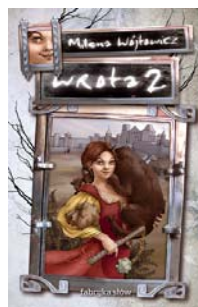
Wydawca: MAG

MORETA, PANI SMOKÓW – ANNE MCCAFFREY

Wydawnictwo: Książnica

ATALAYA. SZLACHETNE PRZYMIERZE – RYDZEWSKA, JAGA

Wydawnictwo: SuperNowa. Tom cyklu: 3



NIUSY

FESTIWAL GROZY I FANTASTYKI

Kanał telewizyjny „Polonia 1”, kojarzący się raczej z reklamami oraz niewybrednymi estetycznie i artystycznie anonsami towarzyskimi, postawił na kino grozy. Od pewnego czasu można w weekendowym paśmie filmowym (w niedzielę) obejrzeć filmy nie goszczące dotychczas na polskich ekranach. Pojawiły się już *Bramy piekiel* (włoski horror utrzymany w estetyce *gore* o konsekwencjach samobójstwa księdza na cmentarzu w noc Halloween) oraz *Bowery o północy* (z 1944 roku, gratka dla miłośników talentu Beli Lugosiego, który tym razem gra czarny charakter dostarczający swemu podopiecznemu bezdomnych i przestępców do przeistaczania ich w zombie). Natomiast w niedzielę 14 października, wyemitowany zostanie *Pogrom Frankensteina*.

Poza tym na „Polonii 1” okazjonalnie pojawiają się filmy i seriale *science fiction* (w sobotnie i niedzielne poranki można obejrzeć *Projekt UFO*). Wszystkie filmy są oczywiście, zgodne z jak najmniej chwalebłą tradycją stacji, we włoskim dubbingu i przerywane reklamami sklepu „Militaria pl”.

AdaM

CZWARTY JONES: OFICJALNY TYTUŁ ORAZ DATA PREMIERY!

Film „Indiana Jones i Królestwo Kryształowej Czaszki” trafi do kin 22 maja przyszłego roku.

jpp



KOLEKCJA "PRZEKROJU" I "VIVY"

Od początku września do tych dwóch czasopism zaczęły być dołączane płyty DVD z kolekcją filmów fantastycznych: "Terminator 1", "Spiderman 1", "Terminator 3", "Spiderman 2", "Dzień niepodległości", "Raport mniejszości", "Pojutrze", "Obcy 1", "Ja, robot", "Faceci w czerni 1", "Predator 1", "Godzilla", "Z Archiwum X - Pokonać przyszłość", "Robocop 1", "Bliskie spotkania trzeciego stopnia", "Mucha 1", "Gatunek 1", "Człowiek Widmo", "Głębia", "Solaris", "Pogromcy duchów 1", "Cyborg".

jpp



TRZYDZIESTOLECIE RODZINNEJ FOTKI

18 września 1977 r. sonda kosmiczna „Voyager 1” wykonała pierwszą w historii wspólną fotografię Ziemi i Księżycy.

jpp

KACZA ZUPA

Za rok minie 75 lat od powstania tej komedii z Braćmi Marx – uważanej za najlepszy film w ich karierze.

jpp

KOLEJNY „JEŻ JERZY” DLA DOROSŁYCH

To już dziesiąty album – zatytułowany „Człowiek z bliźną”.

jpp

WYSPA DOKTORA MOREAU?

Brytyjczycy jako pierwsi na świecie zgodzili się na tworzenie zwierzęco-ludzkich embrionów do celów naukowych. Decyzję podjął brytyjski urząd The Human Fertilisation and Embryology Authority (HFEA) - wydający pozwolenia w zakresie embriologii i zapłodnienia in vitro. O pozwolenie na takie eksperymenty wystąpiły dwa zespoły brytyjskich naukowców.

HFEA wyraziła zgodę na tworzenie mieszanek, w których aż 99,9 % materiału genetycznego pochodzi od człowieka. W praktyce oznacza to zgodę na wstrzykiwanie ludzkiego DNA do zwierzęcej komórki jajowej, z której uprzednio usunięto jej własne jądro. Naukowcy liczą na to, że z takich zarodków będą w stanie wyhodować linię komórek macierzystych, które w przyszłości mogą się z kolei przydać do leczenia choroby Alzheimera, Parkinsona czy zawału serca.

jpp



ODSZEDŁ JEDEŃ Z POETÓW KINA

Podczas prac nad autobiograficznym filmem „Stary człowiek i pies” zmarł reżyser Witold Leszczyński – autor m.in. „Żywotu Mateusza”, „Konopielki”, „Siekierzady”. Miał 74 lata.

jpp

GIGANT NA SZYBKO?

Z analizy pomiarów wykonanych przez sondę kosmiczną „Cassini” wynika, że Saturn obraca się szybciej niż do tej pory sądzono. Być może oznacza to, że gazowe giganty powstały w przeciągu zaledwie tysięcy (a nie milionów) lat.

jpp

JUBILEUSZOWY GDAK W GDAŃSKU ORAZ NAGRODA DLA TWÓRCY „KAJTKA I KOKA”

W dniach 22-23 września 2007 r., w Pracowni Komiksu przy Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej (filia nr 68 na Suchaninie), odbyły się dziesiąte Gdańskie Spotkania Komiksowe.

Podczas tej jubileuszowej imprezy Janusz Christa uhonorowany został Nagrodą Prezydenta Miasta Gdańska w Dziedzinie Kultury.

jpp



XXXII FESTIWAL POLSKICH FILMÓW FABULARNYCH W GDYNI

Otworzył go pozakonkursowy pokaz „Katynia” Andrzeja Wajdy. Złote Lwy otrzymał Andrzej Jakimowski za film „Sztuczki”.

jpp

CHOCHLIK ZJADŁ PREZESA

Autorem filmowych minirecenzji w nr 221 był Ceti. Przepraszamy!

Redakcja

Korespondencja z Londynu

(meldunek nr 2)

Witam ponownie po ponad roku milczenia. Będzie o "fantastycznych" wydarzeniach w Londynie, wysypujących ostatnio obficie.

Przy okazji czerwcowej wizyty Michała Szklarskiego postanowiliśmy nie przepuścić okazji i obejrzeć musical "Władca pierścieni", wystawiany od 9 maja w Drury Lane Royal Theatre.

Historia tego budynku jest na tyle interesująca, że można by napisać na ten temat odrębną korespondencję, jak zresztą chyba o wszystkich obiektach w Covent Garden. Dzisiaj właścicielem teatru jest Andrew Lloyd Webber.

Widowisko przygotowywane przez kilka lat, olbrzymim nakładem środków, było jedną z najbardziej oczekiwanych przez londyńczyków premier. I chyba się zawiedli, a w każdym razie recenzenci wyjątkowo krytycznie skwitowali przedstawienie, wskazując zwłaszcza na kiepską grę aktorów.

Nie podzielam tej opinii, najwyraźniej doznania fana fantastyki są różne od wrażeń fana musicalu. Podziwiałem fantazję twórców, adaptujących epickie dzieło na niewielką scenę teatralną. Dynamikę oryginału osiągnięto z użyciem skomplikowanego systemu urządzeń oraz rewelacyjnego oświetlenia, co razem wzięte doskonale dawało odczucie ruchu w czasie i przestrzeni. Natomiast zgrzytem było dla mnie wrażenie, jakby w połowie spektaklu autorom libretta zabrakło pomysłu na logiczne spięcie całości, jakby na siłę chcieli się zmieścić w trzech godzinach, w rezultacie zabrakło kilku kluczowych scen, co zdecydowanie popsło efekt. Trochę się zdziwiłem przy końcowych scenach, że to już.

Więcej szczegółów znajdziecie w specjalnej recenzji Michała (obietca!).

Dwa tygodnie później nie mniej "fantastyczny" muzyczny weekend na Wembley Stadium. Najpierw w sobotę koncert Live Earth z udziałem Metalliki i Madonny z brawurowym wykonaniem "La Isla Bonita". W niedzielę wielki koncert Metalliki, z którego relacje mogliby napisać Ziemia i Nowy, jako że byli tam obecni, na co nie pozwoliła mi wysokość mojego Jobseeker's Allowance. Tak jak w sobotę Metallica powtórzyła swoje największe przeboje "Enter Sandman", "Unforgiven" czy "Nothing Else Matters" i oczywiście zagrała wiele więcej. Z dwóch supportów warto wymienić KORN.

Tydzień później, od 13go do 15go lipca, kolejna wielka impreza, największa w Europie – Star Wars Celebration Europe, odbywająca się w hali wystawowej ExCel Center, z udziałem choćby Marka Hamilla i wielu innych. Nasz kraj między innymi licznie reprezentował 501 Division-Polish Outpost czyli Polski Oddział Szturmowców.

Miało być bez polityki, ale w tutejszej gazecie "London Lite" natknąłem się na dowcip rysunkowy o tematyce gastronomicznej, który po małej modyfikacji z pomocą Papiera, nabrał jakby nowej, nieco politycznej treści. Do następnego razu...

Mariusz Czach

Ps. Zainteresowanych musicalem odsyłam do strony www.lotr.com. Można tam obejrzeć fragmenty spektaklu.

- Przykro mi proszę pana, ale kaczki właśnie wyszły...



Weneccy „kupcy”

Zapowiadając tą książkę, napomowano balon oczekiwań niemal do granic wytrzymałości. *“Najlepszy debiut w historii!”*. Ha. Dałem się złapać, przeczytałem, ale ostateczna ocena zdecyduje się chyba wraz z ostatnim zdaniem, bo choć bardzo mi się podobało, to wciąż się waham jaką dać ocenę.

Recenzje pełne zachwyty chyba po części wynikają z legendy narosłej wokół sposobu, w jaki Lynch trafił na wydawcę. A dokładniej, po tym jak opublikował kilka fragmentów swojej pierwszej powieści w blogu. I tak też kampania reklamowa była prowadzona – co raz to kolejny blogger dodawał swoją cegiełkę do całej tej niesamowitej historii, pisząc jaką to fantastyczną powieścią są *“Kłamstwa...”*. No więc są, czy nie?

Dzisiaj, kiedy definicja tego co jest, a co nie jest fantasy, jest tak płynna, że naprawdę ciężko z całą pewnością jednoznacznie dany tekst przypisać gatunkowo, *“Kłamstwa Locke’a Lamory”* wpisują się w fantasy, choć to z przeciwnego bieguna w stosunku do tolkienowskiego. I to jest pierwsza zaleta tej książki.

Lynch jednak tworzy swoje własne uniwersum, ale robi to w bardzo oszczędny sposób. Raczej sugeruje niż pisze wprost, jak toczyła się historia miasta i całego świata. Każde się z jednej strony domyślać, z drugiej zostawia wiele niedomówień, w końcu to nie uniwersum jest w centrum uwagi. Bo oto akcja powieści, za wyjątkiem małego wypadu w jednej z retrospekcji, toczy się cały czas w obrębie jednego miasta. Camorr, to Wenecja niemal żywcem przeniesiona w świat powieści, miasto zbudowane na dziesiątkach wysp i wysepek, podzielone niezliczonymi kanałami i złączone jeszcze większą liczbą mostów. Na jego terenie działają niezliczone grupy kryminalistów, rządzone twardą ręką Capy Barsaviego, *capo di tutti capi*. A wśród nich funkcjonuje grupa drobnych złodziejasków, wiodących jednak podwójne życie, o którym Barsavi nic nie wie – *Gentlemen Bastards*, tak się zwą i zaręczam, że nazwa jest w każdym calu uzasadniona. Piątka wychowanków pewnego mnicha prowadzącego podwójne życie, odebrała doskonałe wykształcenie, pozwalające im na udawanie niemalże dowolnej osoby. Jednak wbrew powszechnej opinii, nie zajmują się rabowaniem byle kogo, oj nie. Obrali sobie za cel, nietykalną dzięki tajnemu paktowi, arystokrację i okradają ją z bezwzględny wdziękiem. Ale jak to w życiu bywa, nie wszystko idzie jak po maśle, więc i Locke Lamora, główny mózg gangu, staje przed poważnym i śmiertelnie niebezpiecznym problemem. I to jest kolejna zaleta tej powieści.

Lynch nie bawi się w próbę przekonywania czytelnika, że to ważna literatura, literatura przez duże *“L”*, że to coś więcej niż dobra literatura rozrywkowa. Wprost przeciwnie - od samego początku jest to wiadome, a opowiedzenie zajmującej, dynamicznej historii staje się, nawet nie nadrzędnym, ale jedynym celem autora. I wychodzi mu to naprawdę znakomicie. Kiedyś, na okładce innej książki znalazłem taki tekst: *it’s a roller-coaster ride that leaves one breathless, exhausted, elated and tearful*. W zasadzie każde z tych określeń pasowałoby do *“Kłamstwa Locke’a Lamory”*, bo od samego początku akcja posuwa się żwawo do przodu, a w pewnym momencie następuje wręcz całkowite przełamanie i fabuła już wprost gna ostro. Nie obywa się przy tym bez brutalnych zagrywek, nie tylko przy opisach wyrafinowanych metod zabijania, ale zwłaszcza w stosunku do własnych bohaterów. Bezwzględnie należy to zaliczyć autorowi na plus, nawet jeśli chciałbym, żeby akurat ten element zmienić. Rada dla przyszłych czytelników - nie przyzwyczajajcie się za bardzo do postaci...

Tytułowy bohater nie jest żadnym aniołem; ba, wręcz przeciwnie! To urodzony oszust i złodziej, a jednak od razu wiadomo, że będziemy go za to kochać. Bo Locke to nie tylko złodziej, to prawdziwy geniusz strategii i doskonały planer. Każdy z jego numerów, to wręcz dzieło sztuki. I choć wydawca sugeruje nawiązania do **"Ocean's Eleven"**, jakoś mnie bardziej **"KLL"** kojarzyły się z genialnym **"Żądłem"**, czy niedawnym **"Przekrętem doskonałym"**. Zresztą cała powieść była dla mnie kopalnią cytatów filmowych z najlepszych filmów rozrywkowych: **"Piraci"** Polańskiego, **"Tylko dla orłów"**, **"Fight Club"**, **"Gangi Nowego Jorku"**, nawet może **"Imię róży"**, **"Chłopcy z ferajny"** czy **"Ojciec chrzestny"**. Gdzieś te wszystkie tytuły przewijały mi się w miarę lektury przed oczami i nawet jeśli Lynch nie wszystkim z nich się inspirował, to na pewno jest w jakimś sensie dzieckiem Hollywoodu i wychował się na takim kinie. Zresztą Hollywood już od niego zakupił prawa do ekranizacji powieści (ciekawe kto zagra Lamorę - Depp? Byłoby fajnie). Literackich inspiracji, poza ewidentnym **"Hrabią Monte Christo"** mniej, co pewnie nie znaczy, że ich nie ma. Ale to nie może być zarzut, bo ta filmowa edukacja wyszła autorowi na dobre - czytelnik, tak jak widz w kinie nie może się nudzić.

Oprócz kinowej akcji, bez wątpienia silną stroną książki są kapitalne, dowcipne dialogi, choć wielokrotnie pełne wulgaryzmów. Nie tylko ze względu na cięte riposty, ale fantastyczne wyczucie, ucho do pisania dialogów, jakim dysponuje Lynch. On to po prostu czuje, a my z kolei czujemy że sprawia mu to prawdziwą przyjemność. Wreszcie kolejną zaletą książki jest zakończenie, a dokładniej, jest to książka zamknięta. Można ją czytać jako otwarcie pewnego siedmioczęściowego cyklu, ale można jako samodzielna powieść, którą też niewątpliwie jest.

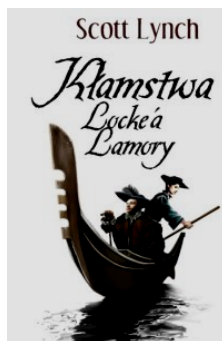
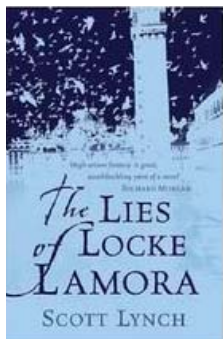
Jeśli mogę poczynić jakiś zarzut, to tylko co do głębszego przetykania powieści retrospekcjami. W sytuacji, kiedy każda niemalże strona przynosi jakiś dramatyczny zwrot akcji, Lynch raczy nas powrotem do przeszłości głównych bohaterów. I jakkolwiek jest to uzasadnione koniecznością ukazania, jak *Gentlemen Bastards* się kształtowali i wzajemnie docierali, to coś we mnie się przeciw temu buntuje! Jakże to, w samym środku akcji! Z drugiej jednak strony, być może pozwala to chwilę ochłonąć i dłużej cieszyć się z bardzo przyjemnej lektury?

"Kłamstwa Locke'a Lamory" to naprawdę bardzo dobrze, być może nawet błyskotliwie napisana rozrywka, której choć daleko do doskonałości, nie można odmówić sprawiania czytelnikowi prawdziwej przyjemności.

Maciej Maciejewski
www.maciejmaciewski.pl

Tytuł od redakcji

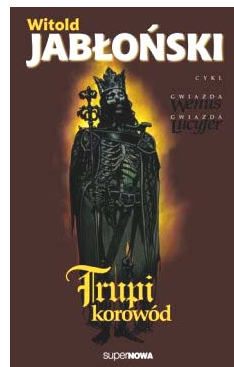
Scott Lynch **Kłamstwa Locke'a Lamory**. Tłumaczenie Małgorzata Strzelec, Wojciech Szypuła. MAG 2007



Witelon vs. Witelon

„Trupi korowód” miał być godnym zwieńczeniem cyklu „Gwiazda Wenus, gwiazda Lucyfer” Witolda Jabłońskiego; ale tak się nie stało. Czwarty tom sagi o Witelonie nadal cechuje się znakomitym językiem i dbałością o szczegóły historyczne, ale rozczarowuje fabułą. W tekście wyczuwa się ewidentne zmęczenie autora, który długimi fragmentami pisze bez polotu i rozwlekle. Największym problemem, a może nawet źródłem pozostałych problemów jest jednak najbardziej podstawowe założenie książki, tj. intryga mająca pozwolić na zaprowadzenie bohatera w większość miejsc, w których coś się w jego czasie dzieje. Witelon gra mianowicie jednocześnie na trzy fronty, lawirując nieprawdopodobnie, by zrealizować swe marzenie o wskrzeszeniu Królestwa Polskiego. Ponieważ jednak upiera się, by królestwo to wskrzesił wyłącznie kujawski Władysław i nikt inny, zmusza go to do podjęcia wymyślnych intryg, byle tylko osłabić tych, których aktualna potęga zdecydowanie bardziej predysponuje do przywdziania korony Chrobrego. Kłopot polega na tym, że autor nie potrafi uzasadnić ustami Witelona, dlaczego to właśnie Łokietek zasługuje tak bardzo na tę godność, w przeciwieństwie do swoich konkurentów. Właściwie jedynym argumentem, ukrytym raczej pomiędzy wierszami, zdaje się być to, że w przeszłości zdołał pokonać jego ukochanego Henryka Probusa. Jednakże potem wiedzie się kujawskiemu księciu raz lepiej, raz gorzej jak wszystkim pretendentom do korony – nie widać więc, czemuż to tylko on miałby być predestynowany do ostatecznego zwycięstwa.

Nie chodzi mi o to, by podejmować polemikę na temat historycznej postaci Łokietka – nie mam do tego ani chęci, ani kompetencji. Rzecz w tym jednak, że nawet jako postać fikcyjna, taka, jaką przedstawia ją autor, nie daje zupełnie możliwości, by traktować go z takim afektem i czolobitnością, jak czyni to Witelon. Powieściowy Łokietek jest wielkim, silnym i wspaniałym władcą wtedy jedynie, gdy Witelon spotyka go osobiście; gdy jednak trafia do retrospekcyjnej narracji, okazuje się nagle, że pozwala swoim żołnierzom żyć z rabunku i grabić świeżo zajęte wielkopolskie włości, nasyła zbirów na biskupa i w podobny sposób stara się zabezpieczyć swoje panowanie nad nową prowincją. Zaiste, roztropny i przezorny władca. I silny, zwłaszcza gdy zostaje wygnany ze swoich ziem. Albo gdy traci Pomorze na rzecz Brandenburgii, a potem Krzyżaków. „Ojcowska, surowa władza” Łokietka w Krakowie dziwnym trafem rodzi bunt mieszczan niezadowolonych z wysokich podatków. „Jego pragnienie władzy nie jest zwykłą prostacką żądzą, lecz opiera się na miłości do ludzi z wszystkimi ich wadami i zaletami” – czytamy. Tere fere. Z kart książki wyłania się raczej obraz jednego z wielu bezwzględnie walczących o władzę książąt, którego ostateczny triumf jest raczej kwestią przypadku niż wybitnych zdolności. Nawet jeśli jako postać przedstawiona przez Jabłońskiego wykazuje się wytrwałością i niezłomnością w drodze po królewską koronę, to są to cechy wyjątkowe na tle jego konkurentów do piastowskiego tronu: w nieco innych okolicznościach równie dobrze mogłoby się powieść czeskiemu Wacławowi lub Pogrobowcowi, albo nawet Henrykowi Głogowskiemu. I w rzeczy samej, gdyby nie dwa morderstwa polityczne, Łokietek z dużym prawdopodobieństwem pozostałby zaledwie pomniejszym księciem. Trudno więc uwierzyć, że to osobiste cechy, jak twierdzi Witelon, są decydujące w jego bojach – skoro ów heros co chwilę podejmuje nieroztropne decyzje i zbiera bęcki od rywali.



Łokietek to dla Witelona Henryk Probus bis, kolejne wcielenie doskonałego władcy – tyle że tym razem bardziej wojownicze, a mniej filozoficzne. Najistotniejsza różnica między postaciami Probusa i Władysława jest taka, że z własnego zaślepienia względem tego pierwszego Witelton zdaje sobie w końcu sprawę; tymczasem tego, że kolejny wzór cnót i dzielny wojownik godny przywdziania korony Chrorego jest po prostu jeszcze jedną jego mrzonką, w ogóle nie zauważa. W związku z tym zupełnie niewiarygodne są w „Trupim korowodzie” dwie kluczowe postacie: Władysław Łokietek, który zmienia charakter co kilkadziesiąt stron, i Witelton w swoim ślepych uwielbieniu dla niego. To ma być ten mędrzec, filozof, myśliciel kierujący się tylko rozumem? „Od dawna... przestałem się ekscytować błędnym kołem Historii, starej handlarki, przedstawiającej ciągle naiwnym klientom ten sam towar w nowe sukna przebrany. Od dawna również nie wierzyłem w pięknych i prawych książąt” – twierdzi nasz bohater, ale sam zadaje systematycznie kłam własnym słowom. Owszem, tym razem stawia na piedestał raczej skuteczność i nieustępliwość niż prawość i szlachetność, ale nie zmienia to w niczym tego, że oba te ideały występują jedynie w jego imaginacji, do której nijak nie przystaje prawdziwy człowiek.

Chyba o Witeltonie powinien być zakończyć się na trzecim tomie. Akcja „Trupiego korowodu” jest chaotyczna i pełna dużych przeskoków czasowych (gdy Witelton usuwa się np. na długie miesiące czy parę lat w zacisze domostwa, by potem nagle znów z pełną energią rzucić się w wir wydarzeń), intryga przekombinowana, a główny bohater, rzekomy mędrzec w świecie głupców, traci nagle sporo oczek w skali IQ. Dobre, mocne fragmenty (cały pobyt na dworze dwóch Wacławów czeskich, rozmowa z kabalistą o Hiobie, pożar Głogowa) przeplatają się tu z ciężko i rozwlekle napisanymi scenami (jak cała wizyta w Szczecinie), a ciekawe rozważania (o koncepcji życia jako zła i śmierci jako jedynego miejsca, gdzie możliwy jest idealny porządek i świętość) z naiwnymi wywodami o nowym, cudownym władcy. Witelton nie ma już wiele nowego do powiedzenia, a jego postawa wobec Łokietka jest dużym krokiem wstecz w stosunku do wniosków, do których doszedł po klęsce Probusa. Zmęczenie otaczającym go „trupim korowodem” byłoby dobrym podsumowaniem jego przeżyć życiowych, gdyby nie to, że owa konstatacja jest niekonsekwentna. Albo się nie wierzy w idealnych książąt, albo się wierzy – nie można mieć jednego i drugiego na raz. Autor zdaje się tego jednak nie zauważać i stąd brnie w sprzeczności, czyniąc z nich podstawę wszystkiego, co napisał w czwartym tomie.

Pod względem historycznym jest to nadal rzecz znakomita: panorama społeczno-polityczna przełomu XIII i XIV wieku warta jest tego, by zagłębić się w długie sześćset stron zwieńczenia cyklu. Pod względem literackim jednak owa historyczna mozaika nie jest dobrze poskładana: ciekawe fragmenty nie składają się na spójną całość. Po świetnym „Ogrodzie miłości” pozostał niedosyt.

Michał Szklarski

Witold Jabłoński, *Trupi korowód*,
SuperNOWA, Warszawa 2007. 606 str.



POWTÓRKA Z LEMA

Krzysztof Boruń, *Toccata*,
[w:] tenże, *Toccata*,
Warszawa 1978, wyd. KAW.



Stanisław Lem, mimo iż (a może właśnie dlatego?) był twórcą trudnym w odbiorze, doczekał się – nielicznych wprawdzie, jednak znaczących „świadectw lektury” (jak można nazwać utwory inspirowane jego twórczością). Należy doń *Toccata* Krzysztofa Borunia, wtórna fabularnie w stosunku do *Powrotu z gwiazd*. Bohaterami owej noweli jest trójka z ponad stuosobowej załogi, powracająca na Ziemię z odległych obszarów Kosmosu. Po przybyciu ocalałych na peryferie Układu Słonecznego, kosmonauci zauważają jego odmienność. Autor nie szczędzi czytelnikowi szczegółów owych przekształceń: *nastąpiły zmiany, które można było wytłumaczyć tylko świadomym działaniem istot myślących. Wenus i Merkury przestały krążyć jako pojedyncze planety po odrębnych orbitach, przeobraziły się w planetę podwójną, wirującą wokół wspólnego środka masy. (...) Mars zyskał cztery nowe księżyce i to świecące własnym światłem (...) zniknęły Bałtyk, Morze Śródziemne i Czarne, a w ich miejscu można było (...) dostrzec subtelną siatkę kanałów i sztucznych jezior. Niegdyś żółte obszary pustyni pokrywała zieleń* (s. 89).

Świadomi, że po upływie trzystu osiemdziesięciu dwu wieków od ich startu cywilizacja musiała zmienić swoje oblicze, kosmonauci są na te zmiany zarazem nieprzygotowani. Ich niepokój pogłębia lapidarność pierwszego nawiązanego kontaktu fonicznego, sugerująca, że rozmawiają nie z ludźmi, a z maszynami. W dyskusji, jaka wywiązuje się pomiędzy bohaterami noweli, jeden z nich, Rost, sugeruje, że Ziemia została podporządkowana sztucznej inteligencji. Miałaby o tym świadczyć ciemność zalegająca ulice miast tuż po zmroku: *Czy nie rozumiesz, że te miasta nie są wytworem ludzkiej cywilizacji, ludzkiej kultury? Że to cywilizacja i kultura robotów?! (...) Automaty nie tylko produkowały dla ludzi! Automaty poczęły myśleć za ludzi! Nie człowiekowi one służyły, lecz bezosobowej strukturze państwowej, w której ludzie i automaty zespały się, stapały w jeden organizm społeczny (...). Zarówno jednostki, jak i całe społeczeństwa uzależniały się od tych maszyn coraz bardziej, a one przeobrażały świat tak, aby stał się światem, w którym najlepiej mogłyby pełnić swoje funkcje (...). Stały się spadkobiercami człowieka* (s. 95-96).

Kiedy jednak lądują na Ziemi, przekonują się, że cywilizacja ludzka istnieje. Jej struktura zmieniła się jednakże tak dalece, że niemożliwe jest poszukiwanie analogii pomiędzy nią, a społecznością, w której wzrastali kosmonauci. Rozumiejąc to, społeczeństwo przyszłości pozostawia im wybór: mogą odlecieć lub pozostać. Rost sugeruje opowiedzenie się za pierwszą z opcji, jednak Helia i Mia decydują się pozostać. Przygotowując się do startu, Rost rezygnuje z kontynuacji gwiazdnych wojaży świadomy, iż tu właśnie – na Ziemi, nawet jeśli jest ona tak odmienna od tej, którą opuścił – może poczuć się w pełni u siebie. Wtedy też poznaje całą prawdę. Ludzkość przetrwała, ponieważ jednak populacja wzrosła, musiała zmienić się koncepcja społeczeństwa. Tym, co pozwala Rostowi odnaleźć się w nowej rzeczywistości, jest muzyka, będąca dlań substytutem pamięci o przeszłości tak, jak dla Bregga były góry.

Boruń nie przybliżyła w utworze kształtu nowej cywilizacji, poprzestając na prezentacji tłumów poruszających się pośród fantomatycznie tworzonych, mglistych ścian, mających zapewnić poczucie prywatności. To zresztą najłabszy punkt noweli: jej autor bowiem, miast zabawić się w futurologa, kreśląc „kształt rzeczy przyszłych” (określenie Herberta G. Wellsa), wołał niejako siłą „chciejstwa” ustanowić nowy porządek, bez dbania o logikę wizji. Skąd bowiem mielibyśmy – jako czytelnicy – wiedzieć, dlaczego muzyka odgrywa tak ważną rolę w życiu człowieka przyszłości? Co więcej – czyżby istotnie Boruń wierzył w potęgę kanonu kulturowego tak, iż żadna ewolucja (czy to technologiczna, czy społeczna) nie byłaby zdolne go przewartościować? I wreszcie – jaka technologia pozwala żyć ludziom przyszłości obok siebie, nie widząc się nawzajem i co z poczuciem ułudy tak stworzonej namiastki prywatności? Na te pytania utwór nie daje odpowiedzi.

Czy warto dziś poświęcić więc czas na lekturę *Toccaty*? Z pewnością nie dla jej walorów artystycznych i poznawczych. Jeśli jednak o noweli Borunia warto dziś pamiętać, dzieje się tak z dwu powodów:

po pierwsze,

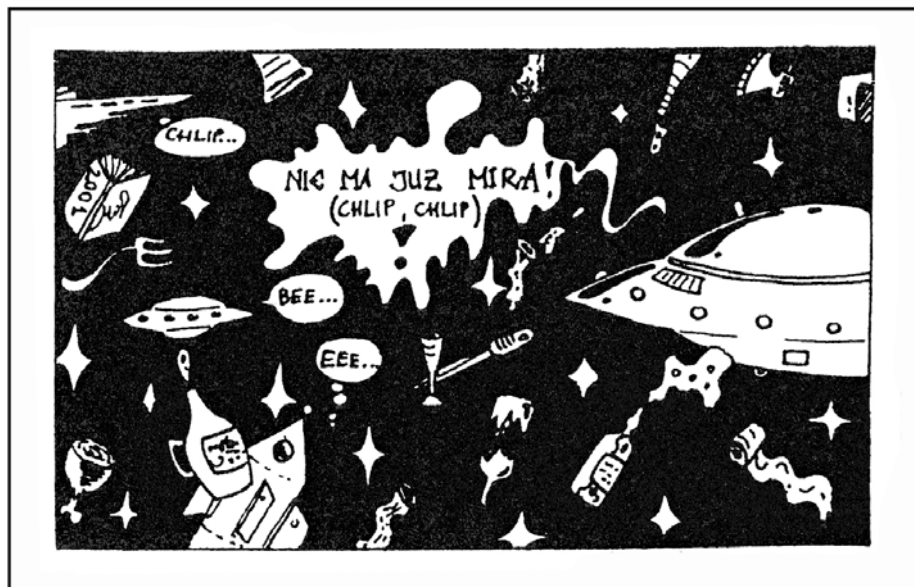
jest ona świadectwem sposobu, w jaki twórcy fantastyki uprzystępniają istotną cywilizacyjnie problematykę. Te same wszak, co w *Toccacie*, kwestie można odnaleźć na kartach *Powrotu z gwiazd*, jakże jednak inaczej zaprezentowane;

po drugie zaś,

nowela Borunia to świadectwo wiary w naukę i moc technologii, pełne naiwnej nadziei, iż moc techniki umożliwi ludzkiemu gatunkowi przetrwanie.

Dziś, nieomal trzy dekady później, mamy już świadomość, że technika – nawet najbardziej zaawansowana – nie rozwiąże za człowieka wielu problemów. Wiedział o tym Lem, być może przeczuwał Boruń, ten ostatni jednak wołał ludzi odbiorcę, że może być inaczej.

Adam Mazurkiewicz



Ani ziębi, ani grzeje

Od kiedy J.K. Rowling stała się nagle popularna, czytelnicy zaczęli walić drzwiami i oknami, a „Więzień Azkabanu” zgarnął nominację do Hugo, jej redaktorom jakby coraz bardziej drżały ręce przy pracy nad rozrastającym się tekstem. Problem rozlektłości pojawił się wówczas, gdy zabrakło pomysłu na fabułę: gdy Voldemort w końcu powrócił, a do ostatecznego rozstrzygnięcia wciąż jeszcze było daleko. Piąty i szósty tom cyklu o Harrym Potterze stanowią z tej perspektywy długi wstęp do zakończenia, wypełniony z braku porządnej intrygi kryminalnej opowieściami obyczajowymi. Czyta się to całkiem dobrze – ale brakuje jednak tego, co przyciągnęło czytelników na początku cyklu. Brakuje mianowicie akcji.

O tym, jak poważny to problem, przekonać się można oglądając „Harry’ego Pottera i Zakon Feniksa”. Film jest znakomity wizualnie, ma najlepsze zdjęcia spośród wszystkich części (polską szkołę godnie reprezentuje Sławomir Idziak), połączone najbardziej dynamicznym jak dotąd montażem. Młodzi aktorzy wyrobili się już tak bardzo, że nie widać po nich żadnej tremy i sztuczności. Imelda Staunton wyśmienicie sprawdza się jako dyrektor Dolores „ahem, ahem” Umbridge. Śmietanka brytyjskiego aktorstwa jest równie dobra jak zawsze. Nawet Evanna Lynch pasuje znakomicie do roli Luny Lovegood. A jednak wszystko to nie może ukryć faktu, że po scenach ataku dementorów i sądu nad Harrym aż do samego końca niewiele się dzieje. Nożyczki scenarzysty, z konieczności pozbywając się wątków pobocznych, takich jak quidditch, obnażyły tę prawdę, że szkoła magii i czarnoksięstwa obejmuje w „Zakonie” niemal wyłącznie wątki poboczne – wprowadzone dlatego, że trzeba było jakoś postarzyć bohaterów o rok, tak aby zbliżyli się do końca cyklu. „Zakon” ogląda się w związku z tym jak dwugodzinny, świetnie zrealizowany teledysk, w którym mało istotne wydarzenia gnają jedno po drugim, byle tylko dotrzeć jak najprędzej do treściwego finiszu. Jednak nawet w teledysku wypada mieć dobry scenariusz, którego w tym wypadku, mimo wszystkich plusów realizacyjnych, zabrakło. Dlatego, choć bronię twórców, przyznaję zarazem, że nie mieli z czego zrobić filmu lepszego niż przeciętny. Nic dziwnego, że chciano tu podobno dodać wątek romansowy z profesorem Dumbledore’em w roli głównej – aż przerażona autorka odgryzła się, że ówże jest gejem. W „Półkrwi księciu” będziemy mieli ten sam problem: zarówno piąty, jak i szósty tom cyklu są mniej filmowe od pełnych intryg kryminalnych wcześniejszych części. Cała nadzieja w tym, że scenarzysta wytnie jak najwięcej wątków szkolnych, a skupi się na przeszłości Voldemorta.

„Zakon Feniksa” to film do obejrzenia: ani ziębi, ani grzeje. Ot, dobry przerywnik po drodze do zakończenia.

Michał Szklarski



[od Naczelnego:]

Podczas tegorocznego Polconu otrzymałem atrakcyjną ofertę od Macieja Górczyńskiego z poznańskiego serwisu internetowego "Zakazana Planeta". Nawiązał on bowiem do mizerii recenzji filmowych w "Informatorze" i naszych rozpaczliwych redakcyjnych apeli. Maciej zaproponował, byśmy zamieszczali również recenzje filmowe od nich – w zamian za promowanie ich serwisu. Układ sensowny (aczkolwiek nie niwelujący naszego apelu do GKF-owskich kinomanów!).

Na pierwszy ogień zdecydowałem się wrzucić recenzję najnowszego filmowego "Pottera": będzie ciekawie współgrać z recenzją Michała Szklarskiego. Ja w tej kwestii jestem zresztą bezstronny: powieści Rowling nie czytałem, zaś z ekranizacji widziałem tylko dwie Columbusa i trzecią Cuarona też (gdy emitował je TVN).



WRZESZCIE!

Wrzescie. Dobry film o Potterze. I do tego pierwszy, który zaszczyliłem obecnością w kinie. Wszyscy, którzy do tej pory posądzali mnie (słusznie zresztą) o uwzięcie się na "Harry'ego" i tendencyjne recki, mogą odetchnąć z ulgą – film nawet całkiem mi się podobał.

Już od pierwszych ujęć widać, że kolejny reżyser starał się wykrzesać z nadal dennego materiału źródłowego nową jakość w filmie. Fajne ustawienia kamery, mroczna kolorystyka (tym razem współgrająca z tym, co na ekranie), ponura muza i generalnie nieco surrealistyczny teaserek z miejsca nastawiły mnie pozytywnie do filmu – i tak już zostało do końca. Ciekawe, że pan od smętnych brytolskich seriali poradził sobie z tematem lepiej niż wyrobnik Columbus, nie wspominając o swoim poprzedniku. Wydaje się, że po prostu w przemyślany sposób kontynuował wizję Cuarona, którego trzeba nazwać ojcem lepszej połowy kinowego "Pottera".

Największą chyba zaletą filmu, i zarazem największym kontrastem z poprzednim odcinkiem, jest jego spójność i konsekwencja fabuły. Tak jak scenariusz "Czary Ognia" był poprawiany i ciachany byle jak i w biegu, o tyle "Zakon Feniksa" ma poukładaną, filmową strukturę, którą się śledzi bez żadnych czkawek (jak było poprzednio). Zdaję sobie sprawę, że żeby napisać taki scenariusz trzeba było fabułę tłustej książki rozłożyć na czynniki pierwsze, wystrzelić w kosmos wszystkie nie-kluczowe wątki, to co zostanie poskracać i pospinać na nowo – ale zrobiono to idealnie. Dzięki temu dostaliśmy sprawną opowieść; a że bez pobocznych wątków? Nie czytałem tych blubrów, więc sercu nie żal. Podoba mi się to, co widzę na ekranie.

Sama fabuła generalnie jest życiowa. Ministerstwo czarowania dochodzi do wniosku, że Hogwart knuje, więc wysyła tam jednoosobową trójkę giertychowską w postaci pieprzonej baby, która terroryzuje przybytek. Pani stopniowo zdobywa coraz wyższą pozycję, aż do wykopania ze stołka Dumbledore'a, a stosowane przez nią metody wychowawcze obejmują szerokie spektrum: od wkuwania książek na pamięć do tortur na uczniach. Wszystko to ma w tle powrót Voldemorta na ten padół, w co nikt prawie nie wierzy, bo Harry mu w poprzednim odcinku nie zrobił zdjęcia

komórką. No, ale wierzy mu tytułowy Zakon Feniksa, który jest kolejnym genialnym tworem wyobraźni pani Rowling, czyli tajne stowarzyszenie, do którego należą wszyscy. Okoliczności te oczywiście prowadzą do zachowań para-buntowniczych w Hogwarcie, z tajnymi kompletami włącznie. Nasi herosi niewiele się na szczęście zmienili od ostatniej części, więc każdy już uważa za normalne, że 18-latki grają 15-latków. Po prostu stare dziady udają, że są młode – widocznie tak musi być. Najbardziej chyba różnicę wieku widać po Dudleyu, który kiedyś był grubym chłopczykiem, w ostatnim odcinku był nieobecny, a teraz powraca jako spasiony młody dresiarz. W przypadku designu samego głównego bohatera zrezygnowali na szczęście z peruki i po prostu go ostrzygli, więc nawet wygląda jak człowiek. Ron do perfekcji już udoskonalił swoją minę tępego wołu, a Hermiona nadal gra po swojemu, czyli tak sobie. Aczkolwiek tej ostatniej jest tym razem nieco mniej, gdyż na pierwszy plan wysuwa się Chinka, która kręci Harry'ego i z którą nawiązuje on tak kaleczny flirt, że przy nim wątek miłosny z "Ataku klonów" wypada jak "Przeminęło z wiatrem".

Ze starych postaci – powraca na szczęście Gary Oldman, który, co tu dużo gadać, winduje ten film o klasę do góry (choć widać, że nie czuje się megalomaniakalnie w swojej roli). Znaczenia nabiera też Dumbledore, mocno zdegradowany w poprzednim odcinku, a także pedałowaci – i już wyrośnięci – bracia Rona, którzy wreszcie mają coś konkretnego do roboty (więcej niż sam Ron zresztą). A z nowych postaci – pojawia się obłąkana chuda blondyneczka, która dzieli się z Harrym swoimi halucynami, jak również, nie mniej obłąkana kumpela Voldemorta grana przez świetną Helenę Bonham Carter – o imieniu Bellatrix Lestrange, rodem chyba z "Austina Powersa".

A jeśli już o bohaterach mowa: dizajn "dzieci" pozostał właściwie nieruszony od przełomowej trzeciej części Cuarona – dresiki i luzik konfekcyjny, co też w pewnym momencie zaczyna odgrywać rolę, kiedy w Hogwarcie nastają rządy terroru i zostają zastrzone rygory mundurkowe. Z kostiumów uwagę zwraca też gustowny dresik Dudleya, wraz ze złotą ketą na szyi.

Muza jest znowu dobra. Mroczna w ciul, ale nie w tak wymuszony sposób, jak poprzednio. Ma swój zupełnie indywidualny styl, który bardzo oszczędnie wykorzystuje main theme Williama. Nowy kompozytor, Dario Marianelli (znany głównie z "V jak Vendetta") potrafi bardzo ładnie zbudować klimacik napięcia, by w decydującym momencie przywalić bombastycznym beatem. Następnym punktem dla tego odcinka.

W kolejnych częściach "Harry'ego" systematycznej poprawie ulegają też efekty. W poprzedniej były one właściwie nienagane, teraz jednak z jakiegoś powodu mamy wymieszane efekty rewelacyjne (np. centaury, które ILM nareszcie nauczył się robić po 6 latach) ze średnimi (miotlany lot nad Tamizą, mimo świetnych zdjęć mocno załatujący "Panem Kleksem") i dennymi (olbrzym wyglądający jak wersja very light Hulka). Skoro już o efektach mowa – jest to pierwszy odcinek "Pottera", w którym nie mamy miotlanego meczu (zapewne w jego zastępstwie pojawia się właśnie ów rajd nad Tamizą).

Pomimo moich zachwytych nad filmem make no mistake – daleko mu do ekstraklasy kinowej. Nad "Zakonom Feniksa" nieustannie unosi się duch grafomańskich powieści, którego nawet najlepsza reżyseria nie przeskoczy. Po pierwsze kolejny raz muszę załamać ręce nad mitologią Voldemorta – kurde, na litość Boską, koleś działał zaledwie 14 lat nazad! A tu się okazuje, że jest owiany megalegendą, ma nie wiadomo jaką armię, zawsze wiernych followersów i generalnie, jeśli chodzi o złą renomę, może konkurować z Sauronem. Ludzie, dla porównania, 14 lat temu leciał "Park Jurajski" w kinie – to przecież dopiero co było! Po drugie, nadal panuje kretyński styl udawania przez magię normalnego świata – w tym wypadku

głównie za sprawą ministerstwa czarów-marów i zaczarowanych sądów. Film w zadziwiający sposób rozgrzebuje też motyw interakcji świata normalnego i zaczarowanego – niestety za wiele widzowi nie wyjaśniając. Bardzo zabawny jest motyw przywiązania Harry'ego do Siriusa Blacka, które się bierze ni z gruszki ni z pietruszki i gdyby Harry co chwila nie deklarował, jak bardzo jest do niego przywiązany, z niczego by to nie wynikało. Fajnie że pani J.K. przypomniała sobie też o roli mniejszości narodowych, wprowadzając postać wcale nie stereotypowego Irlandczyka o szalenie oryginalnym imieniu Seamus.

Jak każdy „Harry”, również ten film może pochwalić się sporymi walorami antywychowawczymi. Po pierwsze w zupełnie jawny sposób zachęca do nieposłuszeństwa uczniowskiego (a w dalszej perspektywie z pewnością również obywatelskiego). Po drugie – promuje członkostwo w pogańskich tajnych stowarzyszeniach. Tradycyjnie też – Harry otrzymuje prezenty gwiazdkowe, sam nie dając żadnego.

Mimo wszystko, w ostatecznym rozrachunku, film pozostawia dobre wrażenie. Fajnie (aczkolwiek prostymi środkami) uzyskano efekt wkurzania się widza na kolejne pomysły giertychowskiej baby – i tym bardziej fajnie się czujemy, kiedy nadchodzi opór i odwet. Końcowa scena i prowadząca do niej akcyjka też są zrobione fajnie – zarówno pod względem dramaturgicznym (aczkolwiek szczególnie przejmujące momenty wywołują uśmiech swoją pompatycznością), jak też zdjęć, kręconych w popularnym stylu z łapy, co trochę się kojarzy niemal ze zdjęciami z pola bitwy.

Wychodziłem zatem z kina ukontentowany (czego i Wam życzę). Jednocześnie zawiadamiam, że na dwie ostatnie reki z cyklu będziecie musieli czekać trochę dłużej niż tydzień od kinowej premiery...

Commander John J. Adams

[/www.ZakazanaPlaneta.pl](http://www.ZakazanaPlaneta.pl) – Serwis filmowy dla snobów!



muzyka = fantastyka = fantazja

OBRAZKI Z DZIWNEJ WYSTAWY



Wszystko zaczęło się, przepraszam za słowo, dosyć banalnie. W 1873 roku zmarł Wiktor Hartmann, młody rosyjski architekt, artysta malarz, serdeczny przyjaciel Modesta Musorgskiego. Zorganizowana wkrótce po jego śmierci retrospektywna wystawa, licząca blisko czterysta prac, stała się tak zwanym „wydarzeniem”, tym bardziej, że niedługo potem, w roku 1874, zainspirowany najbardziej poruszającymi pracami przyjaciela kompozytor, w ścisie ekspresywnym tempie, bo zaledwie trzech tygodni, opatrując tytułem – a jakżeby inaczej – „Obrazki z wystawy”, unieśmiertelnił ją w muzyce.



Zakładam, że wszyscy znają, jeśli nie całość, to przynajmniej najślynniejsze fragmenty dzieła, być może jednak nie każdy dostrzegł cieniuteńką nić tajemniczych powiązań, łączących ów dziwny cykl dziesięciu fortepianowych miniatur ze światem fantastycznych odniesień i wyobrażeń. A jest się czemu przyglądać, o jest! I to z kilku powodów.

Po pierwsze: już nie mówię, że fantastyczny jest w samym swym założeniu pomysł przetransponowania doznań ze świata plastyki w świat ekwiwalentów muzycznych. To się rozumie samo przez się. Pozwólcie więc, że przejdę od razu do Promenady, czyli Przechadzki, by całej sprawie jak najszybciej przyjrzeć się z bliska. Promenada to utwór łączący większość, bo nie wszystkie, części cyklu. Jakże dziwny to moment muzyczny, nie tylko rozdzielający poszczególne obrazy od siebie, ale, aż czuję lekkie dreszcyki, kiedy to piszę, sygnał obecności kogoś trzeciego w całej tej bajce, kogoś nienazwanego, dotąd nieprzeczuwanego. Ta dziwna postać, a może zaledwie jej cień, tyleż niedookreślony co konkretny i czytelny, zjawia się nagle i równie niespodziewanie znikam nam z oczu: może to ktoś w rodzaju narratora (jeśli w muzyce może w ogóle istnieć ktoś taki), może to odautorskie „ja” kompozytora, może któryś ze zwiedzających, a może to jesteśmy my sami, którzy słuchając, zostajemy wrzuceni w przestrzeń wymyśloną wystawy. Chodzimy to tam, to tu, wahamy się, w którą stronę się zwrócić, i którą z prac obejrzeć teraz. Prowadzi nas melodia: prosta, jakże łatwo wpadająca w ucho, łagodnie i lekko pomaga przekroczyć granice świata wolnych skojarzeń, wyobraźni i dźwięku. To ona, za każdym razem inaczej, w innym nastroju i tempie, zapowiada kolejny obrazek, przed który zaprowadziło nas przeznaczenie. Obrazy przesuwają się przed oczami – tak, właśnie tak, słuchacz jest w stanie je całkiem wyraźnie zobaczyć, każdy na swój sposób, oczywiście – poruszając się wewnątrz magicznej przestrzeni, pełnej nastrojowych pejzaży, duchów z przeszłości, poezji i przeczuć. Słuchacz wchodzi w ów świat niezauważenie i niezauważalnie, sam o tym nie wiedząc kiedy. I to jest naprawdę magiczne.

Po drugie: po latach pojawił się Maurice Ravel (ten od Bolera), który tajemnicą swego talentu przeniósł fortepianową poetykę „Obrazków” w świat mieniący się feerią barw impresjonistycznej orkiestry. Choć paru przed nim i paru po nim próbowało tej sztuki, ale to właśnie jemu udało się wydobyć z utworu wielkiego Rosjanina owo metafizyczne „coś”. Orkiestrowa wizja Ravela to, mówiąc przenośnie, jakby ktoś rzucił

na wybrany przedmiot jasny snop światła i ukazał w grze światła i cienia nieznane dotąd szczegóły owego przedmiotu – ukryte w partyturze niuanse, wielobarwne detale, kunsztowne kolory, cienie, półcienie i kreski. Utwór Musorgskiego zyskał nową twarz, inną barwę, nowe znaczenia.

„Gnom” wywołuje dreszcz. Dziadek do orzechów w kształcie krasnala o wielkich szczękach ze szkicu Hartmanna u kompozytora przeistoczył się w ohydny gnom. Silnie akcentowana linia basu i gęsta faktura dźwiękowa tworzą nastrój niepewności i zagrożenia. Po serii ósemkowych pasaży melodia gwałtownie „staje dęba” na podobieństwo turlającego się ciężkiego przedmiotu, zatrzymanego nagle na krawędzi przepaści. Frazy dosłownie zawisają w powietrzu, po czym kołysząc się na niewidzialnej nitce pozwalają, by wybrzmienia i pauzy podkręcały i tak już mocne napięcie. Przyciężkawe brzmienie całego utworu przywołuje przed oczy wyobraźni obraz kulawego karła, który wyłania się nagle z ciemności i idzie ku nam, kołysząc się na swych krzywych nogach. Sugestywnie spotworniała muzyka, to szokujące piękno nowego spojrzenia na melodykę XIX wieku. Jest szokujące i dla nas. Szokujące i zachwycające zarazem, bo aż chce się odwrócić od plastycznej wizji karła ze wstrętem, lecz zachwyty nad formą muzyczną nie pozwala. Oto wpadłeś słuchacz u misterną pułapkę Sztuki. I tak już będzie do końca.

Tempo kolejnych Promenad to przyspiesza, to znów, jakby w zamyśleniu, zwalnia, by w końcowych taktach poddawać już ton, tempo i nastrój następnego obrazka.

Przestańmy na chwilę przy „Starym zamku” i to nie tylko dlatego, że najbardziej lubię ten utwór..., nie uprzedzajmy jednak wypadków.

Po trzecie: na scenę wkracza kolejny bohater. Niezwykła postać. Muzyczne niebo przecina kometa, na krótką chwilę rozpala horyzont bajecznym światłem, świeci jasno i równie niespodziewanie znika. Isao Tomita, Japończyk z europejską wrażliwością. Azjata zauroczony rosyjską zwłaszcza słowiańskością w muzyce. Samotnik zmagający się z materią dźwięku. Zaczął wprawdzie od Debussy’ego, potem jednak zainteresował się dokonaniem wielkich Rosjan: Musorgskiego, Strawińskiego, Prokofiewa. Jego orężem było elektroniczne instrumentarium Mooga i wszelkie najnowocześniejsze w latach 70. ubiegłego wieku zdobycze techniki w dziedzinie el-muzyki. Nic w tym dziwnego, że Japończyk obłąskawia najnowsze zdobycze techniki, zdumiewa natomiast, że właśnie jemu, podobnie jak przed laty Ravelowi, udało się wyjątkowo celnie trafić w materię dźwięku i przenieść klasyczne formy muzyczne w zupełnie nowe obszary skojarzeniowe i to bez szkody dla oryginału.

Wizja Tomity wydaje się być wypadkową dwóch poprzednich, łącząc w sobie klarowną estetykę fortepianową Musorgskiego z bogactwem ornamentów orkiestry Ravela. Są tu utwory, w których muzyk zachowuje powściągliwość fortepianowych środków wyrazu, jak choćby w poszczególnych Promenadach, a są i takie, w których porwany siłą ravelowskiej inwencji daje upust elektronicznej fantazji, przytłaczając słuchacza potęgą brzmienia imitującego orkiestrę (o!śniewająca „Wielka brama kijowska”). Zachwyca pomysłowością przede wszystkim w sposobie wykreowania dźwięku i to w głównej mierze decyduje o niepowtarzalności jego dzieła. Dzięki niezwykle bogatym możliwościom twórczym, jakie dawały muzykowi syntezatory i mik-serski stół, wizja ta, będąc kosmiczną i nierealną, poetycką, a przy tym i dość mroczną, z drugiej zaś strony pełna jest pokory wobec oryginału, zrodzona z miłości do klasyki, a nie z pustej pychy tworzenia. W sumie zaś nieoczekiwanie piękna i w pełni samodzielna.

Nadeszła pora, kiedy uzbrojeni w konieczną wiedzę, całkiem spokojnie możemy powrócić na „Stary zamek”. W autorskiej wizji Musorgskiego miniatura ta jest czystą liryką; cisza i smutek górują nad tym miejscem zaklętym i nieznanym. Wielki gmach nie

budzi lęku w samotnym wędrowcu, który na podobieństwo trubadura stanął pod murami, gotów odśpiewać pieśń zamkniętej w wieży księżniczce. Smutna tonacja i tęskna melodia serenady wzlatają sennie ponad mury i umykają do nieba.

Tomita nieoczekiwanie wzbogacił pejzaż starego zamczyska. Oto nagle pojawia się, początkowo w tle, z czasem zaś słyszany coraz wyraźniej, dziwny głęboki dźwięk basu, do złudzenia przypominający... głos ludzki. Czy to brzmi jeden z „martwych” instrumentów Mooga, czy też może „żywy” głos samego Isao Tomity komputerowo przetworzony, biję się w piersi – nie wiem – w każdym razie efekt jest niesamowity. Oto, słuchając tego basu, zjawia się przed oczami wyobraźni zaskoczonego słuchacza postać zgrzybiałego starca, który wpatrzony w jakieś niezbrane nam światy, snuje smutną opowieść jakby żywcem wyjętą z baśniowego świata fantasy. Jeśli ktoś pamięta kapitalną japońską adaptację „Makbeta” – film Kurosawy „Tron we krwi” (swoją drogą – znakomita fantastyka); jest tam scena, w której wiedźma wieszcy głównemu bohaterowi jego los, przędąc na kołowrotku nić jego żywota. Coś z klimatu tej sceny i przesywającego zaśpiewu staruchy brzmi w linii melodycznej basu w „Starym zamku”, a nawet bardziej jeszcze w kolejnej miniaturze „Bydło”, gdzie Tomita owego tajemniczego starca wprowadza znowu.



I tu ciekawostka. „Bydło” Musorgskiego od początku do końca utrzymuje stałą dynamikę: utwór zaczyna się od pierwszego taktu głośno i miarowo, imitując ciężki krok wołu ciągnącego w błocie wóz na drewnianych kołach i tak samo głośno i miarowo się kończy. Ravel wprowadził tu zmianę w postaci delikatnego crescendo, czyli stopniowego zgłaśniania początkowych taktów utworu, utwór zaś kończy decrescendem, czyli stopniowym wyciszaniem. Na skutek tego, pozornie niewielkiego, zabiegu utwór zyskał realną perspektywę i złudzenie przestrzeni w postaci statycznego widza, może nim być też słuchacz, względem którego wóz powoli przejeżdża; gdy jest najbliżej, muzyka brzmi najgłośniej, po czym osiągając apogeum, zaczyna cichnąć, oddalać się, by w końcu zamilknąć całkowicie, gdy kontury wozu znikną w oddali. Partię klawiszy basowych Ravel powierzył tubie tenorowej. Crescendo zastosował również Tomita, a tubę zastąpił elektronicznym efektem sennego zawodzenia owego starca. Tak oto z wierności wobec klasyki zrodziła się magia.

Broniąc się przed mechanicznym oprowadzaniem Czytelnika po zakamarkach naszej wyimaginowanej wystawy, nie chcąc nużyć i zniechęcać, zatrzymam się już po raz ostatni, za to przy miniaturze, której nie sposób przemilczeć. Hartmann zaprojektował kostiumy do pewnego baletu, o którym dziś raczej niewiele wiadomo. Kostiumy przedstawiają tancerzy wcielających się w kurczęta wykluwające się ze swych jajeczek. Musorgski nie przegapił takiej gratki i jego fortepianowy „Taniec kurcząt w skorupkach” stał się syntezą tańca, afirmacji życia i doskonałej zabawy. Przechabawny żart muzyczny, z imitacyjnie rozchwierkaną i roztańczoną partią fortepianu, z biegiem lat zaczął pełnić rolę swoistej wizytówki „Obrazków z wystawy”. W transkrypcji na syntezatory utworu, zyskując śmieszna – i owszem – dosłowność (kurczaki jako żywo: co tu ćwierkania, co pisku, szczebiotu i gonitwy!), traci jednak cały urok wieloznacznej aluzyjności i paradoksalnie, będąc najbardziej chyba znanym utworem Isao Tomity, jest zarazem jego najślabszym.

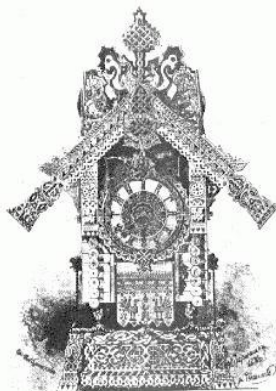


estetyki rockowej instrumentów klawiszowych, gitary i perkusji, ale także i... nastrojowych tekstów, dopisanych przez Grega Lake'a do wybranych miniatur. Poetyckie wariacje dość dowolnie odnoszą się nie tylko do samego Musorgskiego, ale i do szkiców Hartmanna. Poza tym „Chatka na kurzej nóżce” zmieniła się w „Chatkę Baby Jagi”, łącząc się w jedno z dopisaną przez Emersona rewelacyjną „Klątwą Baby Jagi”, żywcem wyjętą z Krainy Ostrego Rocka, a refleksyjny „Stary zamek” połączył się w fabularną i logiczną całość z genialnie odśpiewanym przez Lake'a równie nastrojowym „Mędrcom”.

Nie wiem, co by na to powiedział gospodin Musorgski, dla mnie jest to muzyka fenomenalna, na swój sposób uroczo baśniowa, doprawiona ostrym, rockowym klimacikiem. Myślę, że sam znajdując upodobanie w plastycznej, ornamentacyjnej formie, wielki Modest, gdyby mógł ją usłyszeć, nie miałby nic przeciwko wizji tak pełnej energii i witalności.

No i popatrzmy: jedno dzieło i trzy epoki. Niejako drwiąc sobie z upływu czasu, rodzących się wokół i upadających coraz to nowych poetyk, stylów i mód, całkiem spokojnie i bez szwanku wpisuje się w coraz to bardziej niezwykłą estetykę muzyczną. To się nazywa siła przebiecia! I czyż nie jest to fantastyczne?

Andrzej Habasiński



ILE DIABŁÓW MIEŚCI SIĘ NA KOŃCU SZPILKI

albo

ILU POLONISTÓW (I NIE TYLKO)
POTRZEBNYCH JEST
DO POWLECZENIA KOŁDRY?



Każdy ma jakieś prace domowe, których nienawidzi. Dla wielu jest to zmywanie naczyń. Ja akurat zmywać lubię. Wyciszam się wtedy, relaksuję. Nienawidzę zato powlekania pościeli. Nienawidzę – i już! Podczas moich licznych delegacji dzielę ośrodki i hotele na dwie kategorie: te, gdzie pościel jest już powleczona - oraz te, w których zaraz po zakwaterowaniu się tracę humor.

Warszawski akademik, w którym zostaliśmy zakwaterowani podczas ostatniego Polconu, należał oczywiście do drugiej kategorii.

Ale trudno: chce się czy nie – trzeba... Zaraz więc po wejściu do pokoju dzielonego z Papierem i Bogusiem zabrałem się do tej niemiłej sercu czynności (by szybciej mieć z głowy).

Męcę się i męcę – a tu nic. Nijak tej cholernej kołdry nie daje się przyoblec w tę cholerną poszwę. Męcę się i męcę – a tu nic.

Na moje potworne męki patrzą obaj moi Współspacze, patrzą też Bracia Szklarscy, którzy zajrzeli do nas na wieczorne pogaduszki. Wreszcie Michał nie wytrzymuje i, śmiejąc się w kułak, rzuca złośliwie: "Ciekawe, ilu polonistów trzeba do powleczenia jednej kołdry?".

W tym momencie Papier, zacne chłopisko, rzuca mi się na pomoc. I tak samo się zaplątuje. Michał rozwija swą kwestię: "Ciekawe ilu polonistów oraz wyższych oficerów marynarki wojennej potrzeba do powleczenia jednej kołdry?". Nasze wysiłki spetzają na niczym.

Warczę więc w kierunku Michała: "Spróbuj, mądralo!". Michał zachowuje się honorowo – odpędza nas obu i sam próbuje. Gdy się już całkowicie zaplątał – Marcin, tarzając się ze śmiechu, modyfikuje zagadnienie: "Ciekawe, ilu prawników i filozofów jednocześnie potrzeba do powleczenia jednej kołdry?".

Po czym zmienia brata, równie bezskutecznie (i narażając się na uwagę: "Ciekawe, ilu sławistów i ekonomistów jednocześnie potrzeba do powleczenia jednej kołdry?").

W końcu jakoś wspólnie powlekleliśmy to cholerstwo.

Jakoś – gdyż okazało się, iż kołdra była prostokątna, a poszwa kwadratowa (czy też odwrotnie).

PiPiDziej

GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

ADRES GKF : Gdańsk-Przymorze, ul. Opolska 2
ADRES KORESPONDENCYJNY: skr. poczt. 76, 80–325 Gdańsk 37

STRONA: www.gkf.art.pl

REDAKCJA: Jan Plata-Przechlewski (red. nacz.), Krzysztof Papierkowski, Marcin Szklarski,
Michał Szklarski

GRAFIKI: Belphegor (3), Marek Dąbrowski (15), Kasia Pilisek (4, 24), E. Smith (9)

KONTO BANKOWE GKF: PKO BP I O/GDYNIA nr 52 1020 1853 0000 9902 0067 8359

Nakład 300

WYDAWNICTWO BEZPŁATNE

INFORMATOR

222

**Teksty drukowane w „Informatorze” odzwierciedlają przekonania Autorów
i nie zawsze pokrywają się z poglądami redakcji**